OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 9 Sierpnia 1865 roku.

Nr 32. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

SPOWIEDŹ W RZYMIE,

PRZED WIELKIM PENITENCJARJUSZEM.

Podług nauki kościoła Świętego, nie wszyscy kapłani od wszystkich grzechów mogą na spowiedzi rozgrzeszyć nie może, tylko biskup lub upoważniony od biskupa kapłan.

W Rzymie, gdzie Ojciec Święty mieszka, takie wypadki ciężkich grzechów są pozostawione kardynałowi spowiednikowi, noszącemu nazwę Wielkiego



Spowiedź w Rzymie.—(Wycięto w Sztutgardzie w drzeworytni Halbergera).

rozgrzeszyć. Niektóre grzechy są tak wielkie i straszne, że rozgrzeszenie od nich, sam Ojciec Święty sobie zatrzymał. I takie wypadki nazywają się po teologicznemu *casus reservati*. Są więc takie grzechy, od których tylko Papież może rozgrzeszyć, lub też upoważniony do tego od Papieża spowiednik; a są i takie grzechy, od których zwyczajny spowiednik Penitencjarjusza, który jedynie umocniony jest przez Ojca Ś., udzielać w tych razach zupełne rozgrzeszenie. Tę wzniosłą czynność swoją odbywa tylko raz do roku, w ciągu trzech dni wielkiego tygodnia, a mianowicie: we wtorek i piątek, i co dzień w innym kościele—Laterańskim, Panny Marji i Świętego Piotra.

Pierwszostronna rycina przedstawia wnętrze kaplicy w kościele Panny Marji w Rzymie. Z obu stron wielkiego wzniesienia, zasiedli na ławach kardynałowie, książęta kościoła, assystujący ważnemu obrzędowi. Na przeciwko z lewéj strony: grzesznicy, którzy z różnych może okolic świata przyszli tu ulżyć gniotącemu sumienie ciężarowi, i pełni skruchy oczekują na koléj. Jeden z nich właśnie klęczy u stóp kardynała spowiednika, który ubrany w fioletową kapę, (fiolet jest barwy żałobnéj dla kardynała), przyjmuje w swe objęcia łkającego młodego grzesznika, co na klęczkach przyczołgał się do ucha wysokiego dostojnika i swe zbrodnie wypowiedział. Po udzielonéj nauce i zaniesieniu modlitwy do Przedwiecznego Ojca, bierze spowiednik laskę z rąk stojącego obok braciszka klasztornego, i dotyka się nią powróconego już społeczeństwu wiernych grzesznika. Szczytny to i wspaniały obrządek, który nie jednego zatwardziałego w duchu, nawrócił na drogę prawdy, przez święty nam kościół opowiadanéj.

Ks. Józef Osiecki.

SIEROTA.

Mimo méj woli wołam—pomarli oboje!
Widziałam kiedy skarby wynoszono moje,
Za niemi poszło szczęście!.. Gdy co serce zrani,
Matka zwykle całuje twarz zalaną łzami,
Ojciec niby żartuje i niby ją gani,
I w głosie gniew udaje—a pieści oczami!

— Wy wesołe, wybrane, wy szczęśliwe dzieci,
Które macie rodziców—te święte podpory!
Macie uścisk poranny, co przez dzień wam świeci,
Macie krzyżyk, co wasze uświęca wieczory,
O jakże wam zazdroszczę! Dla mnie świat się mroczy,
Z rana pod wpływem słońca rozkwitają kwiatki,
Ja się budzę i pytam—gdzie są owe oczy,
Co serce moje grzały—oczy mojéj matki?!

Jak długo w oczach stały, te ich twarze święte,
Jakże długo pukałam, w te ich drzwi zamknięte!
A śmierć mnie ich zabrała—oboje pomarli!
Samotna u ogniska wołałam za niemi,
Lecz już mnie nie słyszeli—po raz pierwszy niemi!
Pierwsze łzy z moich oczu, których nie otarli.

— I patrzałam dokoła... zobaczę ich może!
Lecz nie—próżne ich krzesła, opuszczone łoże,
Ni cienia! dwa porteta na ścianie milczące,
I dwa drugie w mem sercu—ale te żyjące!

Myślałam: Nie przeżyję! u łoża boleści
Pilnowali mnie obcy—ale nikt nie pieści,
Służą ręce nie serca—nie było téj ręki,
Która na me boleści—która na me jęki,
Miała zawsze gotową kroplę dla ochłody,
Pocałunek gorący na moje jagody.

— Trzeba było porzucić ten dach ukochany,
Te sprzęty ulubione—te domowe ściany,
Gdzie pierwsze kroki moje były ich pociechą,
Głosu matki, mych pieśni brzmiące jeszcze echo...

— O Boże! w obcym domu już obcy nas mieszczą,
Obcy—to znaczy, ręce które nas nie pieszczą,
Nie kochają—u obcych, oczy bez wejrzenia,
Usta bez pocałunku i bez przebaczenia!

— Wczora nas prowadzono na grób u smętarzy,
I rzekli: „Oni lężą, ci którychś kochała,
Już nie obaczysz nigdy rodzicielskiéj twarzy,
Wszystko znika." Jam tego zrozumieć nie chciała!

— Potem wskazali Niebo: „Pomódlcie się dzieci,
Oni tam, oni w Niebie, gdzie palą się zorze,
Zkąd miłość ciągle płynie; zkąd to światło świeci,
I zrozumiałam, o Boże!..

— Patrzeć w Niebo już było duszy méj potrzebą,
Bo to co ziemia zniszczy, to Niebo przechowa...
O! cóż jest piękniejszego, jak nad grobem Niebo?!
Tam ich miłość mnie czeka, ta sama i nowa.
To jest moje ognisko, gdzież może być inne?
Pozwólcie patrzeć w Niebo, tam gniazdo rodzinne!

Gabryella Puzynina.

CÓRKA RZEMIEŚLNIKA.

(POWIASTKA OBYCZAJOWA).

(Dokończenie. — Patrz Nr. 31).

VIII.

„Czcij ojca i matkę twoję."
(Przykazanie Boże).

Pięć lat upłynęło od zdarzenia opisanego w poprzednim rozdziale... a przez ten krótki czas, ileż to zmienić się może rzeczy i ileż istotnie zmieniło.

Zaszły też zmiany w dworku na Tamce. Pan Maciéj, wygrawszy pamiętny zakład o wypicie dwudziestu czterech kufli bawara—legł w grobie syt sławy i Schefferowskiego trunku.... Czeladź, utraciwszy w nim swego przewodnika, rozpierzchła się. Opustoszał warsztat pani Maciejowéj, aż w końcu zwinąć go musiała, dla braku roboty i kapitału do prowadzenia interesu. Nieszczęście nigdy samo nie przychodzi. Po zwinięciu warsztatu, sypać się zaczęły rozmaite pretensje i dawne hipoteczne długi, do dworku na Tamce. Zwolna wywłaszczono owdowiałą majstrowę z jéj posseji, a pani Maciejowa wyniosła się do sąsiadki na mieszkanie. Zaszła też zmiana niepomierna w jéj usposobieniach. Zgryziona stratą córki, męża i gospodarstwa, tłusta exstolarzowa, zaczęła szukać pociechy na dnie kieliszka. Namiętność pijaństwa szybko zmarnowała resztę pozostałych zasobów—wygnano ją w łachmanach z mieszkania, i w chwili gdy ten rozdział naszéj powiastki rozpoczynamy, nędza jéj i nałóg dosięgły ostateczności.

Było to także w maju, jak przed sześciu laty, nad wieczorem o dniu pogodnym, świątecznym. Tłumy warszawian różnobarwne, charakterystyczne, snuły się, jak zwykle, bez początku i końca, po chodnikach Krakowskiego-Przedmieścia i Nowego-Światu. Lornetowano się, przepatrywano siebie, obmawiano wzajemnie. Pomiędzy temi tłumami ku stronie Świętego Krzyża, postępowała jakaś damulka, ustrojona wykwintnie i zalotnie. Szeroka olbrzymia krynolina dzwigała kilkunasto-łokciową, bogato w falbany i ogon strojną suknię jedwabną, któréj wartość dałaby utrzymanie na cały kwartał ubogiéj rodzinie. Pyszny palto letni, doskonale odznaczał zgrabną jéj figurę i biust, kapelusz zaś ocieniał twarz, na któréj znać były ślady różnych przejść. Była to jednak jeszcze twarz ładniutka i mogąca niejedną głowę zawrócić. Kokieteryjność jednak ubrania, zalotność śmiałych spojrzeń,—kazały się domyślać w niéj kobiety próżnéj i zepsutéj. W tym właśnie czasie, kiedy młoda nasza damulka, wdzięcząc się na wszystkie strony, kroczyła swobodnie po chodniku Krakowskiego-Przedmieścia, na przeciwnéj stronie ulicy, w szynku tak zwanym Karasia, odbywała się zwykła tam bar-

dzo scena. Któż nie zna z was téj przystani pijaństwa? szynk i dalsze izby zawsze pełne, gwarne, cuchnące wódką i wilgocią, wylewają co chwila gromadkę pijaków i pijanic, których niepewne kroki niepozwalają bezpiecznie przechodzić po trotoarze. I w téj chwili właśnie, z otwartych drzwi szynku, jednym rzutem wyleciała jakaś kobieta, wśród grzmotliwego śmiechu wszystkich zebranych. Snać było to przymusowe opuszczenie, tak miłego przybytku—wyrzucona bowiem jak z procy pijaczka, zatrzymała się na trotoarze, swobodniejsza—zwróciwszy się ku drzwiom szynku, z wyrazistym giestem, ochrzypłym krzyknęła głosem:

— Ach! psy przebrzydłe! wyrzuciliście mię jak łupinę... bo już niemam za co fundować.... Ale ja sobie nazbieram, nazbieram dalibóg, i znowu będę pić... pić... a wam zasię! ho! rozumiecie, zasię! psy! I tu puścił się potok tak energicznych wymysłów, iż czujemy się wolni od drażnienia nimi uszu czytelników naszych.

Kobieta ta ubraną była w okropne łachmany, cuchnące brudem i wódką. Twarz jéj nabrzękła od pijaństwa, malowała jakąś wesołość dziką i straszną. Widząc, że jéj nie odpowiadają ze szynku, w podrygach i lansadach, pośpiewując jakąś sprosną piosenkę przychrypłym głosem, przeszła przez środek ulicy i zbliżyła się do tłumów przechadzających się swobodnie pod kościołem Ś-go Krzyża.

— Panowie młodzi i panny...jestem stara pijaczka! zawołała bezczelnie do przechodzących. Córka mi uciekła... dom mi sprzedano... wódeczka mi została! oj dana.... dana.... wódeczka kochana!.. Dajcie mi na wódkę! Paniczu! rzekła zwracając się do jakiegoś dandego, do méj gołąbki taki sam się umizgał jak ty..... ale jéj nie zaślubił, tylko ją ukradł! Daléj paniczu daj złotówkę staréj! No! Panienko! a tu pijaczka zwróciła się właśnie do damulki, którąśmy już poprzednio opisali, i ty daj mi jałmużnę..... Przecież może masz matkę?! A kto wie, co się z tobą panienko i z twoją matką stać może? I przy tych słowach pijaczka podniosła swój wzrok obłąkany, na twarz nieznajoméj naszéj pani, a ta utkwiła także swe oczy w twarzy pijaczki. Dwie te kobiety... jedna wykwintna strojem i pięknością..... druga obrzydliwa łachmanami i trunkiem..... stanęły na przeciw siebie jak wryte, z wlepionym wzrokiem, z zapartym uśmiechem..... Przechodnie zdjęci ciekawością gromadzić się zaczęli.

— Córko!! Joasiu!! dziecię moje! Wielki Boże!!... zawołała nakoniec gwałtownie pijaczka, a któż z was niedomyślił się w niéj pani Maciejowéj? Serce moje! więc nareszcie widzę cię! I taka ładna! strojna! Bogata może..... Szczęśliwa?!...

I przy tych słowach biedna niewiasta roztworzyła swe ramiona do serdecznego uścisku. Zapomniała ona w téj chwili, wyrządzonéj sobie krzywdy, zapomniała bezcześci rzuconéj na siwą głowę mężowską i swoją. Widziała już tylko córkę kochaną... ładną... bogatą. W nędzy, prędko się ściera wstyd. A przytem serce matczyne tyle przebaczyć umie.

Ale w rozwarte ramiona pani Maciojowéj nikt nie pośpieszał. Joasia, gdyż to ona była — widząc się poznaną od matki w łachmanach, stała przerażona. Dopiero po chwili zrozumiała swoje położenie, kłopotliwe i dostrzegła tłum widzów ciekawy, szyderczy, urągający się. Córka w atłasach! matka w łachmanach! Jakiż nieopisany wstyd i zgroza ścisnęły serce Joasi, zbladła straszliwie! Lecz w tejże saméj chwili zmierzyła zimnym, pogardliwym wzrokiem swą matkę i rzekła jak można najspokojniéj:

— Precz pijaczko! jak śmiesz mię napastować! nigdym cię w życiu nie widziała! A to okropnie, że tu w Warszawie każdemu pijakowi wolno chodzić i zaczepiać w sposób nieprzyzwoity.....

I po tych słowach piękna Joasia zwróciła się szybko w tłum, chcąc uniknąć natręctwa własnéj matki! Słowa nikczemnéj córki, wypierającéj się własnéj macierzy, padły jak piorun na serce pani Maciejowéj. Oczy jéj były suche, ręce wyciągnięte, w głowie zakręciło się mocno. Trunek, którym tak szczodrze raczyła się ciągle, odzyskał swoje prawa, tem gwałtowniéj, że nastąpiło chwilowe wytrzeźwienie, przy pierwszém wzruszeniu:

— Ha! ha! ha! zaśmiała się szalenie. Patrzcie, oto jedyne dziecko moje! córka moja.... Joasia! wyparła się! Nie zna matki pijaczki! Ha! ha! a wychowałam starannie, na wielką panią. Uczyć kazałam parle, parle, i brum drum.... a dziś mnie nie zna! Ha! ha! ha! I śmiała się pijaczka strasznym suchym śmiechem... śmiała coraz gwałtowniéj, aż nareszcie brakło jéj sił i potoczyła się na bruk ulicy. Zmęczone jéj piersi silnie robiły konwulsyjnem drganiem, z ust toczyła się piana... oczy kołem poglądały otwarte. Tłum ciekawych stał przerażony i niemy. Nikt nie śmiał ratować pijaczki! Dopiero po chwili jakiś wysoki mężczyzna, niezgrabnie odziany w długi surdut, zbliżył się do nieszczęśliwéj, ujął jéj głowę w swe dłonie, i z lekkim niemieckim akcentem prosił o przyprowadzenie dorożki. Usadzono w niéj panią Maciejową i odwieziono do szpitala—gdzie, krótko mówiąc, w trzy dni umarła. Żółta piramida piasku, w najodlegiejszym końcu cmentarza, pokryła jéj ciało— które znów na miejsce wiecznego spoczynku, odprowadził tylko ów mężczyzna wysoki, w niezgrabnym surducie, przemawiający z lekkim niemieckim akcentem.

A Joasia? Joasia słyszała śmiech matki, widziała jéj upadek, ale jéj wstyd było ratować rodzicielkę w łachmanach. Siadła czemprędzéj w dorożkę i pojechała do swego mieszkania, gdzie już na nią czekało kilku młodych paniczów. Wesoły wieczór strawiony na hulance, zagłuszył wyrzuty sumienia, lubo ciągle w uszach tętniało jéj: „czcij ojca i matkę twoją!"

Ach! biednaż ona była, biedna! Oto są skutki płochego wychowania! Matki rzemieślniczki! wpajajcie w swe córki zamiłowanie mierności i waszego szlachetnego stanu! Sposóbcie je na kochające żony, na dobre gospodynie a nie na modne panny. Szukajcie dla nich mężów między uczciwemi rzemieślnikami — bo sięgając wyżéj, częstokroć pogrążacie wasze dzieci w przepaść bezwstydu i zbrodni, a dla swych siwych włosów gotujecie nieszczęście!

IX.

Pytanie: Czy i wróg jest naszym bliźnim?
Odpowiedź: Tak, i jako bliźniego winniśmy go miłować jak siebie samych.
(*Katechizm*).

Jeszcze nie koniec, choć już jesteśmy na schyłku naszéj powiastki. Od czasu sceny przed Ś-tym Krzyżem, opisanéj w poprzednim rozdziale... znowu trzy lata upłynęły, przynosząc nowe zmiany, radości i smutki. Tym razem, zaprowadzimy naszych czytelników na Dunaj, do jednéj z tamtejszych kamieniczek, pod strych, na czwarte piętro. Nie wahajmy się uchylić drzwi do ubogiéj izdebki, któréj jedno okno w dymniku, na sąsiednie wychodziło dachy.

Jest już spóźniona godzina wieczorna, a izdebka jedną tylko łojówką oświecona. Nędzne sprzęty nie zatrzymają długo naszego oka — lecz mimo woli zastanowimy się nad grupą, którą zdaje się umyślnie ukrywać wgłębiona w ścianę nisza. Niszę tę zajmuje sofka, a na niéj spoczywa mężczyzna. Ile można dojrzeć, wzrost jego wysoki, a ciało z osłabienia obezwładnione. Twarz blada, spokojna, posiada jakiś wyraz anielskości—zwykły tym, których życie ofiarą, którym sumienie nic nie wyrzuca, którzy czują, że obowiązek swój godnie spełnili. Grube i napracowane dłonie złożone były do modlitwy, a pewno powtarzały ją usta i serce chorego, za kapłanem, który klęczał u łoża. Opodal od sofki, klęczała niewiasta z twarzą ukrytą w dłoniach, przez które sączyły się cicho, żałośne łzy.....

Byłto umierający Peter, i czuwająca nad jego ostatnie godziną.... Joasia.....

Zakonnik znakiem krzyża zakończył modlitwę, powstał i poważnie przemówił:

— Pojednałeś się z Bogiem mój synu, pojednajże się i z tą, która choć mimo woli, tylu cierpień twoich była przyczyną.

— Ach! mój ojcze! czyliż chowam w mem sercu żal jaki?! A gdybym go i miał, czy, widząc nędzę téj biednéj, nieprzebaczyłbym go już dawno? Joasiu droga! mówił daléj, zwracając się do niewiasty, kochałem cię bardzo, więcéj niż przystało może człowiekowi. U nas prostych ludzi serce jak raz pokocha, to wiernem jest już na wieki! kocham cię więc i dzisiaj, lubo już stoję na progu wieczności. Przeznaczono cię do czegoś lepszego, zapominając strzedz przed chciwością złych ludzi. Padłaś ich ofiarą! Niech im Bóg przebaczy! Nie mogę ci wypowiedzieć, ile cierpieliśmy po twojem oddaleniu się z panem Alfonsem, jaka boleść ogarniała mię, gdym widział twe życie. Nie robię ci wymówek. Widziałem także spotkanie twoje z matką!.... ja jéj oczy zamknąłem, powiem ci więc, że błogosławiła przed śmiercią swoją córkę, prosząc Boga o upamiętanie dla niéj i lepszą dolę. Wszak prawda Joasiu, że modlitwa ta nie była próżną?

Tu niewiasta zalana łzami, całując ręce chorego, odrzekła:

— Dzięki ci za te słowa..... mówisz, że mi niegodnéj matka przebaczyła, na śmiertelnéj pościeli!.... Jakiż balsam leje mi się w piersi! Ach ja niebogą, dotąd ciągle słyszę jéj śmiech i ciągle brzmią w uszach moich wyrazy przykazania: „czcij ojca i matkę twoję.” O tak, byłam szalona opuszczając dom rodzicielski! Ach zawsze powtarzano mi, żem do czegoś lepszego, niż do rzemieślniczego stanu stworzona! Jam temu wierzyła. W jakże nikczemny sposób zostałam oszukana. Hańba była moim udziałem! Obłąkana brnęłam z nieprawości w nieprawość, aż dopiero straszna choroba, pozbawiając mię wdzięków i zamożności, dowiodła do tych wrot nędzy. Lecz ilekroć jestem szczęśliwa! Praca dalsza nie straszy mię, bo pragnę odpokutować przeszłe winy..... Nie Peter.... czuję, że ty nie umrzesz, ale żyjąc staniesz się moją podporą, przewodnikiem. O, czemuż nieznałam poprzednio świata i twego szlachetnego serca!....

Chory uśmiechnął się smutno:

— Żyć nie będę moja Joasiu; powiedział to wyraźnie doktór... a czuję nawet, że życia coraz króciéj. Dziękuję Panu nad Pany, że dał mi własną śmiercią odkupić życie pana Alfonsa, którego miałem za wroga swego—bo prawda, ojcze, dodał do zakonnika się zwracając, że i wróg naszym jest bliźnim?

— Niezawodnie, mój synu. Bóg ci twój czyn szlachetny policzy w przyszłem wiekuistem życiu...

— Tak! to był mój obowiązek! Kiedym go spostrzegł w czasie pożaru, w pierwszéj chwili krew długo tajoną urazą zawrzała — ale ujrzawszy go w niebezpieczeństwie, czyż mogłem opuścić w pośród płomieni? Nie..... nie..... jam tylko spełnił moją powinność!! O! moje młode córki rzemieślników, co to ufne w zamożność rodziny, pogardzacie ludźmi waszego stanu.... ubogą czeladzią, rozważcie, gdzież więcéj było serca; czy w modnym dandysie, co skalał dla kaprysu honor ubogiéj familji, czy w nieokrzesanym czeladniku, który własnem życiem ratował wroga? Kogo z nich nazwiemy człowiekiem?



Córko! Joasiu! dziecię moje!—(str. 255, szp. 1).
(Rysował Rudzki—wyciął na drzewie Szymborski).

Ileżby dała teraz Joasia, żeby mogła powrócić minioną przeszłość. Niestety! czasu nie cofniesz; a rzeczywistość jest twardą. Mimo więc łez i modlitw jéj, Peter téjże jeszcze nocy skonał.

— Biedna moja, mówił jéj na chwilę jeszcze przed zgonem, zostajesz sierotą, ubogą. Idźże więc drogą pracy..... cnoty.... a Bóg miłosierny zlituje się nad tobą, i przebaczy ci ciężkie przewinienia. Joasiu moja! niezapomnij też i do méj mogiłki przyjść kiedy..... westchnij za mnie i pamiętaj, żem ciebie tak kochał!...

Grób wszystko kończy!.... więc i koniec naszéj powieści. Lecz zapytacie się zapewne o kilku znajomych, poznanych w ciągu opowiadania. Prawda, winienem więc zdać sprawę o ich losie.

Pan Alfons i Rajfurska pobrali się na starość, i kupili wioskę gdzieś w Płockiem.

Pani Stelmasiewiczowa, Szewczyńska i wiele innych sąsiadek, nagadawszy się dowoli o przypadkach państwa Maciejostwa i Joasi, powydawali swe córy i pożenili swych synów, za rzemieślników i rzemieślniczki. Z pociechą zaś możemy donieść, że stadła te są szczęśliwe, o ile szczęśliwemi mogą być ludzie na świecie, którzy pozbywszy się próżności, zamiłowali pracę i skromny fach własny.

A Joasia? O téj straciliśmy wieść zupełnie. Opowiadano nam tylko, iż w pierwszą rocznicę zgonu Petra, na grobie szlachetnego czeladnika, widziano klęczącą kobietę średniego wzrostu, chudą, ubogą, ale schludnie ubraną. Klęczała długo i płakała rze-

wnie..... a odchodząc, zostawiła wieniec nieśmiertelników. Czy wróci w drugą rocznicę? Ja niewiem.

Adam Wiślicki.

ŻEGLUGA NAPOWIETRZNA.

(Dalszy ciąg.—Obacz Nr. 31).

Pierwszymi ludźmi, którzy się odważyli i na rozkosze i na trwogę napowietrznéj podróży, byli dwaj Francuzi: *Pilâtre de Rozier* i Markiz *d'Arlande*. Już w niespełna dwa miesiące po powyższéj próbie Mongolfiera, oświadczyli oni swą gotowość wzniesienia się w powietrze, i udali się o pozwolenie do Ludwika XVI. Król wahał się, a gdy i sam Mongolfier okazał się niestanowczym, i zapytana o zdanie akademja żadnéj nie dała odpowiedzi, nie dał pozwolenia ochotnikom lecz oświadczył, iż ułaskawi dwóch na śmierć skazanych zbrodniarzy, jeżeli zechcą wsiąść do balonu. To oświadczenie obudziło wielką niechęć w ochotnikach. Jakto? mówili, czyż zbrodniarze, wyrzutki społeczeństwa, mają posiąść sławę, jako pierwsi napowietrzni żeglarze? Podwoili następnie swoje usiłowania i zabiegi, i uzyskali nareszcie upragnione pozwolenie.



Grube i napracowane dłonie złożone były do modlitwy,—(str. 256, szp. 1).
(Rysował Rudzki—wyciął na drzewie Albert R.)

Działo się to 21 listopada 1783, w zamku la Muette, około Paryża. Mongolfier sporządził świetny i wielki balon, pod którym był żelazny kocioł, przeznaczony do utrzymywania ciągłego żaru. Około tego kotła, nieco powyżéj, urządzono po pierwszy raz galerję dla śmiałych żeglarzy. Kilkaset tysięcy ludzi zbiegło się na to widowisko. Pomimo silnego wiatru, wsiedli Pilâtre de Rozier i d'Arlande do galerji i wzniosłszy się szybko w górę, pozdrawiali kapeluszami zdziwionych widzów.

Nie możemy tu zapuszczać się w szczegóły téj pierwszéj podróży; powiemy tylko, iż trwała ona 25 minut i była zupełnie szczęśliwą. W znacznéj wysokości, przepłynęli śmiali żeglarze po nad Paryżem, przyjmowali pozdrowienie z wieży kościoła Notre-Dame, i przestawszy podniecać żar, spuścili się bardzo łagodnie o $1\frac{1}{2}$ mili od miejsca odlotu. D'Arlande dosiadł tu natychmiast konia i pognał do la Muette, aby oznajmić przebieg podróży, czekającym tam jeszcze tłumom. Tymczasem balon włożony na wóz, wraz z drugim żeglarzem, wprowadzano tryumfalnie do stolicy.

Tym sposobem, przełamaną została pierwsza obawa. Już w kilka dni po powyższéj wycieczce, puścili się w podróż *Charles* i *Robert*, w tak zwanéj *Charlierce*, t. j. w balonie, który był napełniony wodorem, i również szczęśliwie dziewięć mil drogi w znacznéj wysokości odbyli. Te przykłady oddziałały z niezmierną szybkością; podróże balonem stały się niemal przedmiotem mody. Do Marca 1785 liczono ich już 35, w których wzięło udział 58 różnych osób. Wszystkie te wycieczki śród powietrznego oceanu, odbyły się w ogóle bez żadnego smutnego wypadku. Najsławniejszą z nich była podróż *Blanchard'a*. W towarzystwie Amerykanina *Jeffery*, wsiadł on do balonu w Dower, a wysiadł koło Calais, t. j. przebiegł 6-milową cieśninę Lamanche, dzielącą Anglję od Francji. Mieszkańcy miasta Calais, przyjęli okrzykami radości i bogatemi darami śmiałego aeronautę, i postawili nawet pamiątkowy posąg w miejscu, gdzie balon powitał ziemię francuzką.

Nie wszystkie jednak podróże napowietrzne, były tak szczęśliwe. Z rokiem 1785 rozpoczyna się szereg smutnych, a nawet i okropnych wypadków napowietrznéj żeglugi. Pierwszą ofiarą padł odważny *Pilâtre de Rozier*. Podobnie jak Blanchard, chciał się on puścić wraz z jednym towarzyszem przez kanał Lamanche do Anglji. Było to 13 czerwca 1785. Pomimo silnego wiatru, wzniósł się i już leciał ponad morzem, gdy świeży prąd wichru cofnął go ku francuzkim wybrzeżom. Aeronauta chciał widać zaniechać podróży i spuścić się na ziemię. W tym celu otworzył klapę w balonie, aby gazu nieco wypuścić; świeżo jednak urządzona klapa zacięła się i nie można jéj było już w żaden sposób zamknąć. Gaz wypływał gwałtownie, pełnym strumieniem, i balon spadł z przerażającą szybkością na ziemię. *Pilâtre de Rozier*, został na miejscu bez ducha; towarzysz jego, żył jeszcze dziesięć minut.

Długoby trzeba opowiadać, gdybyśmy chcieli opisać wszystkie, do dziś dnia przedsiębrane napowietrzne podróże. Wspomniemy jeszcze tylko o kilku znaczniejszych, lecz przedtem musimy się zastanowić nad konstrukcją i niezwalczonemi do dziś dnia wadami balonu.

Na powłokę balonów, używają zazwyczaj mocnéj kitajki, która jest napojoną takiemi nieprzenikliwemi materjami jak pokosty, kauczuk i t. p. Mongolfierek używano tylko z początku; późniéj atoli jak i dziś posługują się wyłącznie balonami, które napełniają gazem wodorowym, albo również dość lekkim gazem węglo-wodorowym, którego jak gazu świecącego, po miastach w wielkiéj ilości używają. Przy Mongolfierkach osiągano wznoszenie się lub opadanie, przez dorzucanie lub niedorzucanie żaru; przy balonach napełnionych gazem, służy do tego poczęści klapa, którą można wedle upodobania gaz wypuszczać i robić balon cięższym, poczęści zaś wory z piaskiem jako balast, którego dowolne rozsiewanie ujmuje ciężaru balonowi, i przymusza go iść wyżéj. Siecią z powrozów objęty, utrzymuje balon na ich kończynach łódkę, gdzie się znajdują żeglarze. Pod łodzią przytwierdzona jest kotwica, służąca do chwytania gruntu, gdy balon na ziemi usiada. Oprócz tego miewają jeszcze zwykle przy balonach *spadochron*, t. j. rodzaj wielkich parasoli, które mogą służyć do spuszczania się na ziemię w czasie nieszczęścia

Jedyną, główną i do dziś dnia trwającą wadą ba-

lonów jest to, że im nie można nadać dowolnego kierunku. Człowiek może być jeszcze jakotako panem wznoszenia się i opadania balonu, lecz zresztą oddaje się na wolę nieznanych mu prądów wiatrowych. Choć bowiem wie zawsze kierunek najniższego wiatru, i może wedle niego obliczać dokąd zaleci, to przecież jest to bardzo chwiejna podstawa; gdyż nietylko najniższy prąd wiatru może się nagle zmienić, lecz w wyższych warstwach powietrza, są zupełnie inne, stalsze wprawdzie, lecz także niestałe wiatry, których przy dzisiejszym stanie meteorologji, nigdy prawie z pewnością obliczyć nie można. A gdyby nawet znano dokładnie prądy wiatrowe, to cóż wówczas? Musiałby się człowiek z swemi podróżami do prądów wiatrowych, nie zaś do swych potrzeb stosować. Lecz nawet o takiéj doskonałości nie ma ani mowy. Próbowano używać żagli różnego rodzaju, chcąc zapanować nad kierunkiem lotu, lecz i to nadaremnie. Do dziś dnia są żeglarze prawdziwą igraszką wiatrów. Okoliczność ta ochłodziła bardzo przesadzone nadzieje i marzenia, i jest powodem, dlaczego żegluga napowietrzna, jak w zeszłem stuleciu tak i dziś, rzadko doświadczaną bywa. Gdy się Franklina, sławnego fizyka, pytano o zdanie, co do pierwszych balonów, odrzekł: „Dziecię się narodziło,” i miał wielką słuszność, gdyż długich lat wymaga jeszcze ten wynalazek, za nim dojrzeje i na pożytek się obróci.

Lecz wróćmy do awanturniczych podróżników.

Wspominaliśmy już o śmiałym Blanchardzie. Obchodzi on nas tembardziéj, iż pośród swych licznych podróży napowietrznych, był pierwszym z ludzi, którzy je w Polsce przedsiębrali. W roku 1788 wzniósł on się balonem w Warszawie, z pałacu Mniszchowskiego, i wysiadł szczęśliwie na polach Woli. Towarzyszył mu wówczas uczony Jan Potocki, wraz z ulubionym sługą turkiem i wiernym białym pudlem. Na pamiątkę téj pierwszéj napowietrznéj podróży, kazał krol Stanisław August wybić medal z popiersiem Blanchard'a.

Po śmierci tego sławnego aeronauty, przedsiębrała daléj podróże napowietrzne jego żona, i przyznać należy, iż go nawet prześcignęła zuchwałą odwagą. Nie raz się wydarzało, iż wzniosłszy się pod wieczór balonem, kołysała się całą noc w powietrznym oceanie, śpiąc przytem bardzo spokojnie w gondoli. Lecz, „kto mieczem wojuje, od miecza ginie.” Prawda ta stwierdziła się na niéj w okropny sposób. W Lipcu r. 1819 wzniosła się pani Blanchard balonem w ogrodzie Tivoli w Paryżu, wieczorem, i postanowiła dać zgromadzonym tłumom wspaniałe widowisko, napowietrznego fajerwerku. Uleciawszy do znacznéj wysokości, usiłowała w tym celu zapalić za pomocą lontu, przywiązaną u spodu koronę z ogni bengalskich; lecz podniósłszy nieostrożnie lont, zbliżyła go do dolnego otworu w balonie. Gaz wodorowy, który jest bardzo palnym, zajął się w okamgnieniu; śmiała żeglarka pojęła zaraz okropność swego położenia i widziano ją, jak usiłowała stłumić buchający płomień, lecz nadaremnie. Balon spadał dość powoli na dół i byłby może doszedł jeszcze dość szczęśliwie do ziemi, gdy wtem porwał go prąd wichru i uniósł nad dachy kamienic, o które gondola z łoskotem uderzyła. „Ratunku!” zawołała jeszcze nieszczęśliwa żeglarka, a po chwilce, podniesiono ją nieżywą z ulicznego bruku.

Lecz przejdźmy do szczęśliwszych wypraw.

Ciekawe są sprawozdania, z dwóch podróży napowietrznych, odbytych w Lipsku r. 1851. Jedna z nich odbyła się w dniu pogodnym, druga śród chmur; pierwszą odbywali, znakomity aeronauta angielski Coxwell i Dr. Hamm, drugą zaś Coxwell i Dr. Keller. Chcąc dać wyobrażenie o uczuciach i rozkoszach napowietrznego żeglarza, przytoczymy tu niektóre wyjątki z tych sprawozdań.

„Zdać sprawę z uczuć, które nademną zapanowały, pisze Dr. Hamm, gdym w małą chwilę po naszym odlocie, z nieopisanéj wysokości spojrzał na ziemię, jest niepodobna. I niezawodnie, iż były one mięszaniną podziwu i trwogi. Tak jest i trwogi; nie wstydzę się przyznać do niéj, i sądzę, że każdy z ludzi, którzy się pierwszy raz wznoszą balonem, nie może jéj nie uczuwać. Po chwili odstąpiła trwoga, i teraz dopiero rozkoszowało się oko w olbrzymiéj panoramie, która się naokoło, w promieniu dalekich mil rozpościerała. Niebo było wprawdzie zasute obłoczkami, lecz wisiały one tak wysoko, iż oku żadnéj nie stawiały zapory. Daleka płaszczyzna, wydała mi się głęboką kotliną, któréj punkt środkowy pionowo pod balonem leżeć się zdawał, podczas, gdy sklepienie nieba spoczywało niejako na jéj spiętrzonym pierścieniu. Lipsk wydawał się z téj wysokości tak małym, byłoby go można na talerzu umieścić: liczne rzeczki w jego okolicy, błyszczały jak cienkie nitki srebra; z dalekich lasów, wznosiła się mgła wieczorna i zakrywała częściowo panoramę; zielono umajone wsie, wyglądały jak małe gniazdka, śród różnobarwnego otoczenia pól. Był to widok tak zachwycający, iż trudno go opisać. „.....Dotychczas zdawało się, iż jesteśmy nieograniczonemi panami powietrza; lecz nagle spostrzegliśmy zapaśników. Stado ptaków podróżnych, zbliżało się pod nami w kierunku balonu, gdy nagle zaniepokoił ich widok naszego olbrzymiego statku. W okamgnieniu rozerwały się spłoszone, zmieniły lot, i niezadługo zniknęły w tym kierunku zkąd nadciągały. Wieczór zaczął cieniami pokrywać ziemię. Wznosiliśmy się znowu w górę i przyszliśmy do wysokości 9,200 stóp; termometr stanął między 0 i 1o, a więc chłód był dość przejmujący. „Tak małą była wówczas ziemia pod naszemi stopami, że lasy wydawały się ciemno-zielonemi krzakami mchu, a rzeki szklannemi włoskami; z ludzkich mieszkań, nie można już było nic szczegółowo rozróżnić.” Noc zapadała, więc żeglarze zaczęli się spuszczać na ziemię, a po kilku minutach dosięgli jéj kotwicą i wysiedli szczęśliwie z balonu.

To jest urok podróży śród dnia pogodnego; lecz o ile majestatyczną jest także wycieczka śród ciężkich, jesiennych chmur, opisuje drugi towarzysz Coxwella, Dr. Keller w następujący sposób:

„Pod olbrzymiem sklepieniem mgły, roztaczało się nieprzejrzane morze chmur, pełne uroku od jednego krańca horyzontu do drugiego. Najczystsze powietrze między temi dwiema warstwami obłoków, dozwalało oku dosięgać najdalszych punktów, w obrębie pozornych mglistych wałów. Raz malowniczo delikatne, to znów najdziwniéj ukształtowane obłoki, igrały licznemi odmianami białéj, szaréj i niebieskiéj barwy, przy magicznem, tłumionem oświetleniu, i starały się niejako powierzchnią ziemi naśladować. Pozorne stykanie się brzegów tych dwu warstw, i na dwa tysiące stóp wzniesione sklepienia wyższéj warstwy, nadawały temu całemu widokowi kształt olbrzymiéj zaczarowanéj groty. Z ziemi dochodził tu tylko bardzo słabo szum lecącéj lo-

komotywy, a zresztą panowała najgłębsza cisza. Wyrzuciliśmy nieco balastu i balon stanął u sklepienia wyższéj warstwy chmur, któréj grubość do 2,000 stóp wynosiła. Jak sród pierwszéj tak i pośród téj warstwy było szaro, chłodno, wilgotno, a oddech utrudniony. Niespostrzeżony dotąd przez nas towarzysz podróży, wielki komar, wysiadł tu z gondoli. Zwierzątko to jedyne, obok nas żyjące stworzenie, latało jakiś czas w około, i nagle, zapewne skośniałe, znikło nam z oczu. Nadzieja, iż niezadługo będziemy już używać rozkoszy pod bezmglistym błękitem zawiodła nas; lecz nagroda za ten zawód była wspaniałą. Gdyśmy wypłynęli ponad drugą warstwę chmur, ukazało się nam toż samo sklepienie zamkniętego świata powietrznego, co i nad pierwszą warstwą, t. j. olbrzymia jaskinia, wypełniona przeczystym eterem, zamknięta z góry srebrzysto-połyskującem, szarem sklepieniem mgieł, a od dołu chmurami, w kształcie ogromnych stalaktytów. Unosiły się tu też same idealne twory, lecz formy ich wszędzie były wznioślejsze, krystalicznie przeświecające, niby skrzepłe a przecież miękko posplatane, magicznem półświatłem osrebrzone, pełne zachwycających odblasków a spokojne jak duchy, których żaden, choćby najlżejszy szmer ziemski nie może dosięgnąć. Nigdzie życia, a przecież nie budzą się grobowe uczucia! Ponad temi strumieniami srebra, na tle szafirowych zatok, ponad tym światem tajemnie świecących ruin, dokoła których legły skrzepłe bałwany morza, ponad mogiłami nabrzeżnemi i ponad malowniczym miljonem wzgórków, w tym nieprzejrzanym kraju mgieł, widziała rozbujała fantazja mimowoli, posępne duchy Ossjana. W gondoli, płynął oniemiały podziw; płynęły dzieci zamyślone przed rozwartą księgą natury, same jedne pomiędzy Bogiem a ziemią.” *(Dokończenie nastąpi).*

K O Z A.

Zwyczaj noworoczny wieśniaków nad Bugiem.

Włościanie okolic nad-Bużnych są jak wiadomo Greko-Unickiego wyznania, i święta obchodzą podług kalendarza dawnego stylu. Nowy rok *(Nowyj rik)*, obchodzonym u nich bywa z wielką uroczystością, pobożnością a zarazem weselem; oprócz tego jest on terminem kontraktów służebnych parobków ze dworem. W wigilją dnia tego poszczą bardzo ściśle, nie jedząc dzień cały, dopiero w wieczór przyjmują posiłek postny z olejem (bez nabiału).

W ten to dzień zwykle wieczorem, chłopcy wiejscy i parobki, chodzą z tak zwaną *kozą*, i najpierwéj produkują się we dworze z tą swoją reprezentacją, która zapewne tak jak *turowanie* w innych okolicach, sięga jeszcze zwyczajów dawnych przedchrześcijańskich Słowian, obchodzących w tym czasie święta na cześć domowych bożków.

Naprzód przychodzi zwykle do dworu kilku parobków poprzebieranych dziwacznie, z posmolonemi węglem twarzami, składają powinszowania właścicielowi.

— „Daj nam Boże, żebyśmo doczekali szczastliwo na przyszłyj rik w zdrowiu i szczastju, kob nam wielmożnyj pan szczastliwo żył!...” i t. p.

Następnie proszą o pozwolenie: „naszoj kozuni pokłonyty sia Panu i poskakaty.”

Po uzyskaniu pozwolenia, wchodzi cała gromadka do dworu i przy odgłosie skrzypków i śpiewaniu chórem stosownéj pieśni, rozpoczyna się widowisko.

Jeden z parobków przebrany za kozę t. j. nakryty dużą białą płachtą, ze łbem mniéj więcéj do kozy podobnym, po nad głową, a który kieruje do woli kijem trzymanym w ręku, skulony, skacze do taktu i bródką z konopi potrząsa.

Koza prowadzoną jest na sznurku przez parobka przebranego w szerokie szarawary, przerobione z *malowanki* (spódnicy), przepasanego krajkami, i posmolonego węglem na twarzy, który trzymając bat w drugim ręku, popędza i kieruje kozą.

Śpiew się zwykle rozpoczyna zwrotkami.

„Oj kozu, kozu, kozu neboho,
Daśt tobi nasz pan pół zołotoho,
I fasku syra, i fasku masła,
Żeb się kozunia dobre napasła.
Hyc! kozu hyc!
Ne zważaj nyc.

Ty budesz kozuńku sobi skakaty,
A my tobi budem choroszeńko spywaty,
Hyc! kozu hyc!
Ne zważaj nyc” i t. d.

W pewnych przestankach koza kłania się domownikom, beczy i raz wraz cięgi batożkiem od przewodnika dostaje.

Oprócz niéj, jest także i żóraw, z długą szyją, zaimprowizowany z ciemnego na wywrót na długim kiju kożucha, który po nad wszystkiemi góruje, i długim swym drewnianym dziobem kozę dziobie, wraz z nią w takt podskakując.

Bywa także często i niedźwiedź z grochowin, wyprawiający z kijem sztuki rozmaite, wreszcie dziad i baba: dziad zgarbiony z ogromną jasną brodą z konopi i takiemiż włosami, baba (parobczak przebrany), owinięta w rańtuchy, proszący oboje o jałmużnę.

Widowisko to, kończy się zwykle traktamentem wódczanym, powtórzeniem noworocznych życzeń, i przenosi się ze dworu do dworków oficjalistów.

Leon Kunicki.

SZTUCZNE CZARNE KAMIENIE.

Jako materjału, do wyrobienia tego rodzaju kamieni używa się piasku napływowego, lub czystego kwarcowego, który przesiewa się przez sito w tym celu, ażeby wszystkie ziarnka do przerobu użyte, jednakowéj były wielkości. Tak wyczyszczony piasek, mięsza się z glinką ogniotrwałą, w ilości 10 do 15 funtów na 100 piasku. Potém, mięszanina ta zwilża się wodą i wkłada w formy żelazne, odpowiednie do kształtu, jaki zamierzamy nadać kamieniom. Massę ułożoną już w formach, poddaje się następnie ciśnieniu prasy hidraulicznéj, a po wyciśnięciu, o ile można jak najsilniejszem, wyprasowaną massę układa się w suszarniach, podnosząc ciepło do 300 stopni gorąca; poczem, nieostygniętą jeszcze massę, zanurza się w smołę z węgli kamiennych, albo z smołowcowego szyfru, i trzyma się takową massę w téj kąpieli od 1 do 8 godzin; w miarę tego im więcéj objętości zawiera bryła.

Po wystudzeniu, kamienie takie są nadzwyczaj twarde i pięknie wyglądają, nieprzepuszczając wody, i nieulegając żadnemu przeobrażeniu.

ROZMAITOŚCI.

— Gazety Francuzkie zamieściły ciekawy list pisany z dnia 15 października roku zeszłego z Japonji, w którym są umieszczone nader interesujące szczegóły o zwyczajach tego osobliwego kraju. Przytoczymy tu z niego jeden tylko szczegół: Wiadomo, że w roku zeszłym książę Nagato, jeden z magnatów Japońskich, dopuścił się różnych gwałtów na Europejczykach, na jego terytorjum będących. W skutek tego francuzko-angielska flota zbombardowała fortecę Simonoski do niego należącą, i zażądała od króla Japońskiego wynagrodzenia kosztów wojennych. Książe Nagato odmówił wypłaty tych kosztów, na jakie go Tajcoun (król) skazał. Z tego powodu oddano go pod sąd, a ten ukarał go skazaniem na utratę całego majątku i zaszczytów. Sąd wyższy czyli apelacyjny w Yeddo, powiedział, że to jest zbyt mała kara, że księcia należy surowiéj ukarać, pozbawiając go życia. Sąd ten zatem wydał taki wyrok: Przepyszny pałac księcia Nagato zostanie z ziemią zrównany, a najwierniejsi jego domownicy i stronnicy ulegną karze śmierci, od któréj sam książę wolnym zostanie. Dziwaczny ten wyrok prawdziwie wedle Azyatyckiéj procedury wydany, został w zupełności spełnionym. Pałac bowiem księcia został aż do fundamentów zburzony, a jego wierni słudzy pościnani, z wyjątkiem tylko intendenta, któremu jako w drodze łaski nadzwyczajnéj, dozwolono wedle zwyczajów japońskich samemu brzuch sobie rozpłatać. W Japonji bowiem istnieje zwyczaj, że jeżeli kto sobie sam życie odbiera, zawsze to robi przez przecięcie sobie brzucha. Jeżeli znowu ktoś obrazi kogoś, lub zostanie sam obrażonym, to nie żąda satysfakcyi przez pojedynek, ale przecina sobie samemu brzuch, a nie było przykładu żeby jego przeciwnik niedokonał zaraz tego samego na sobie, czyli na swoim brzuchu. Są to szczególne zwyczaje, barbarzyńskie, jakie tylko w kraju pogańskim w Azyi istnieć jeszcze mogą. Ale wracając się do intendenta księcia Nagato, to nieszczęśliwy ten człowiek, uchodzący za człowieka nadzwyczaj uczciwego, znany ze swéj dobroci i miłosierdzia, spełniając sam na sobie ten barbarzyński wyrok, dziękował sędziom ze łzami wdzięczności w oczach, oświadczając, że jego dzieci i wnuki będą im nieskończenie wdzięczne za łaskę, jaką mu teraz wyświadczono! I w skutku téj pięknéj łaski, co go rozczulała do łez, odebrał sobie życie z zimną krwią i prawdziwie stoicką odwagą, przecinając sobie brzuch, wedle narodowego zwyczaju, obosiecznym mieczem.

ANEGDOTA.

Nauka dla pochlebcy.

Pewnego razu w Niderlandach, było na śniadaniu kilku podoficerów u dzielnego pułkownika Edmundsa, kiedy wszedł jego ziomek (był szkotem) i odezwał się: „Mylordzie, twój szlachetny ojciec, wszyscy kawalerowie i szlachta, ich synowie i krewni są w dobrem zdrowiu.” Pułkownik uśmiechnął się, wzruszając ramionami i odrzekł: Panowie, nie wierzcie ani słowa temu, coście dopiero słyszeli; mój ojciec nie jest niczem więcéj, jak biednym piekarzem w Edynburgu, i zaledwie może zarobić na życie. Nie ma ani jednego szlachcica w mojéj familji. Ten człowiek chciał mi pochlebić, dając wam do zrozumienia, że się urodziłem w jakimś zamku. Nie, koledzy, urodziłem się w zacnym sklepie, i tego się nie wstydzę.”



Koza, zwyczaj wieśniaków z nad Buga.—(str. 259, szp. 1).—(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie Albert R.)

— W czasie wizyty głównéj w 15-tu Ochronach w Warszawie odbytéj, liczba dzieci w 1865 r., była następująca:

Ochrona Numer	Obecnych			Z pomiędzy tych było			
	Chłopców	Dziewcząt	Razem	Czytających	Zgłoskują	Znają litery	Razem
1	40	30	70	27	22	17	66
2	46	42	88	28	26	14	68
3	92	52	144	45	45	40	130
4	68	65	133	45	32	40	117
5	62	50	112	27	24	17	68
6	39	33	72	32	12	17	61
7	36	78	114	16	34	15	65
8	49	37	86	29	14	17	60
9	85	66	151	44	53	11	108
10	30	42	72	20	9	20	49
11	35	37	72	20	26	20	66
12	82	63	145	51	50	29	130
13	74	74	148	44	42	10	96
14	,,	114	114	28	24	30	82
15	,,	92	92	45	31	10	86
Razem	738	875	1613	501	444	307	1252

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 28 Lipca (9 Sierpnia) 1865 r.